DWUTYGODNIK POLITYCZNY

RZECZPOSPOLITA

Nr. 64.] SOBOTA 25 LISTOPADA 1911. [Rocznie......10. K (4 Rb., 8 Mk.
[Półrocznie 5 K (2 Rb., 4 Mk.

Pr. 177/11
2

W IMIENIU JEGO CESARSKIEJ MOŚCI!

C. k. Sąd krajowy karny jako Trybunał prasowy we Lwowie orzekł na wniosek c. k. Prokuratoryi Państwa, że treść czasopisma *Rzeczpospolita* nr. 63 z dnia 11 listopada 1911 w artykule „Ucieczka Siczyńskiego“ w ustępie od „Ale tensam“ do końca zawiera znamiona występku z § 300 u. k., uznał dokonaną w dniu 11 listopada 1911 konfiskatę za usprawiedliwioną i zarządził zniszczenie całego nakładu i wydał w myśl § 493 p. k. zakaz dalszego rozpowszechniania tego pisma drukowego. Zarazem wydał nakaz odpowiedzialnemu redaktorowi tego czasopisma, by orzeczenie niniejsze umieścił bezpłatnie w najbliższym numerze i to na pierwszej stronie. Niewykonanie tego nakazu pociąga za sobą następstwa przewidziane w § 21. ust. druk. z 17 grudnia 1862 Dz. p. p. N. 6 ex 1863 t. j. zasądzenie za przekroczenie na grzywnę do 400 koron.

Lwów, dnia 14 listopada 1911.

Garlicki.

Przewrót.

Gdy ktoś w przyszłości będzie pisał dzieje lat naszych w tej dzielnicy, będzie musiał powiedzieć, że zamordowanie ś. p. namiestnika Andrzeja Potockiego było zbrodnią potworną, ale obraz i dowód przewrotu, dokonywującego się w kraju, znajdzie dopiero w przebiegu sprawy mordercy, Mirosława Siczyńskiego.

Bo przebieg tej sprawy jest rzeczywiście niezwykły, jedyny w swym rodzaju, zdumiewający.

Zbrodniarz zamordował w sposób podstępny i okrutny, strzelając pięć razy do leżącego na ziemi, na posłuchaniu udzielonem mu z zupełną łatwością i życzliwością, namiestnika cesarskiego, w chwili, gdy wykonywał on swój urząd zastępcy monarchy z najwyższą oznaką zaufania monarszego, orderem złotego runa, na piersi, człowieka znakomitego, dobrego i jak łza czystego, ojca dziewięciorga dzieci, Andrzeja hr. Potockiego.

Już w trzy dni po morderstwie, przygotowanem jawnemi nawet pogróżkami i podnietami do zbrodni w pismach ruskich i dokonanem oczywiście w zmowie, której ślady miało w ręku pierwsze śledztwo, zaprzestano nagle wszelkich poszukiwań za uczestnikami, organizatorami i inspiratorami, jednem słowem, za moralnymi sprawcami zbrodni, chociaż cały kraj wiedział gdzie ich szukać.

Następnie zaczęła się ujawniać szczególna troska także i o samego mordercę. Przewleczono postępowanie sądowe. Po pierwszej rozprawie, przeprowadzonej d. 30 czerwca 1908, w dwa i pół miesiące po zbrodni, zniesiono wyrok i zarządzono zbadanie stanu umysłowego winowajcy, chociaż nie było żadnych zgoła wątpliwości. Ale dzięki temu druga rozprawa odbyła się dopiero 15 kwietnia 1909, a zatem w rok po zbrodni. Przeczekano żywiołowe oburzenie kraju.

Przyszła kolej na zabiegi, przygotowujące ułaskawienie i zamianę kary śmierci na inną. Sędziowie przysięgli, pouczeni w pismach i nie w pismach, że ten zbrodniarz zasługuje na jakieś względy szczególne, dodali do wyroku, w sposób nieprzewidziany w ustawie, uchwałę polecającą mordercę łasce najwyższej. W tym samym duchu działali urzędowi i parlamentarni przedstawiciele naszego narodu, ułatwiając sprawę tym czynnikom rządowym wiedeńskim, którym to było na rękę. Nowy namiestnik, którego zdanie w takiej sprawie mogło mieć wielką wagę, nie sądził widocznie, że względy dla mordercy ś. p. Andrzeja Potockiego są niedopuszczalne i niebezpieczne. Nastrój Koła Polskiego był przychylny, a przynajmniej nie był nieprzychylny. Przeważyło zaś szalę, co nie jest rzeczą tajną, stanowcze zdanie ówczesnego ministra skarbu, p. Bilińskiego na rzecz ułaskawienia. I tak powoli, po roku zwłoki, po umiejętnych przygotowaniach gruntu, stało się to, o czem w pierwszej chwili nikt nie byłby pomyślał: zbrodniarzowi, który w sposób podstępny zamordował namiestnika w chwili urzędowania, karę śmierci zamieniono na dwudziestoletnie więzienie.

Ale względy trwały i szły jeszcze dalej. Na życzenie mordercy i jego doradców prawnych wyznaczono mu więzienie stanisławowskie, które on sam sobie wybrał jako najdogodniejsze. Wiedziano, że to rzecz niebezpieczna, ostrzegano, mówiono o tem i pisano już wtedy, przed dwoma laty. Ale życzenie takiego zbrodniarza i jego opiekunów więcej znaczy, niż najprostsze względy bezpieczeństwa i porządku. Morderca dostaje się do więzienia, w którem jedni dozorcy wielbią go jako swego bohatera narodowego i w pas mu się kłaniają, a inni są przekupni. Więc wreszcie łatwo, swobodnie i wygodnie, po upiciu towarzysza kaźni winem, jakby rzecz działa się w szynku, a nie w więzieniu, przy pełnej pomocy dozorców, w ich ubraniu, z podrobionymi kluczami do wszelkich drzwi, wychodzi zbrodniarz główną bramą z więzienia, a cały obóz jego przyjaciół kpi sobie z bezradnych poszukiwań wszelkich policyi, żandarmeryi, prokuratoryi, bo, jak oznajmia ludowi ruskiemu *Narodne Słowo*, do rzeczy się wzięli tu „lu-

dzie, którzy znają się na takich sprawach i umieją każdej sytuacyi zajrzeć w oczy", a więc „Mirosław bezpieczny".

Taki oto jest przebieg sprawy mordercy ś. p. namiestnika Andrzeja Potockiego. Czy po 12 kwietnia 1908 był u nas i u obcych jeden choćby człowiek uczciwy, od największych aż do prostaczków, któryby przypuszczał, że może stać się coś podobnego? A jednak stało się.

*

Równocześnie zaś działo się coś znacznie donioślejszego niż los samego mordercy. W miarę bowiem jak i ze strony władz widać było pewne wahania i pewną skłonność do poglądu, że takiej zbrodni należy się wyrozumiałość, całe społeczeństwo ruskie utrwalało się w przekonaniu, że to nie zbrodnia, lecz bohaterstwo. Zaczęło się jawne, w żadnym innym kraju niemożliwe, wysławianie morderstwa i otwarcie wybuchła i rozszerzyła się cześć mordercy.

Tylko dzięki miękkiemu i chwiejnemu stanowisku władz wobec zbrodni, zbrodniarza i jego współwinowajców, mogło tak wybujać i jawnie wystąpić to bezczelne i zniepprawiające wysławianie morderstwa. Jest to zupełnie oczywiste, a zresztą nie brak wskazówek, że można było nie dopuścić do takiego gorszącego bezwstydu.

W pierwszej chwili po morderstwie starali się wprawdzie gorętsi działacze ruscy usprawiedliwiać morderstwo, a nawet z szczerością dzikich ludzi mówili o „ogólnem zadowoleniu narodowem" jak p. E. Lewicki, albo wołali „vivat sequens" jak p. Budzynowski. Ale naogół politycy ruscy czuli, że to rzecz straszna, do której przyznawać się i której pochwalać nie można. Więc nazajutrz po morderstwie p. Romańczuk, prezes klubu ukraińskiego, odrzekał się „rodziny fanatyków", a czyn Siczyńskiego był tylko „zbrodnią" zarówno dla p. Romańczuka, który oświadczył, że nikt nie był przygotowany na tę zbrodnię i każdy musi ją potępić", jak i dla p. K. Lewickiego, który zapewniał, że „stronnictwo ukraińskie stoi zdala od tej zbrodni", jak wreszcie dla posłów, w imieniu których pp. Romańczuk i Wassilko złożyli oświadczenie, że „prezydyum klubu ukraińskiego potępia czyn Siczyńskiego". Tak przemawiali politycy ruscy na łamach *Neue Fr. Presse* (13—15 kwietnia 1908) w pierwszej chwili po morderstwie. Bali się. Ale wnet spostrzegli się, że niema się czego bać. Władze nie szukały współwinowajców i łagodziły sprawę. Wtedy wszystko się odwróciło. Nabrano ducha. Już w niespełna tydzień później cisami pp. Romańczuk i Wassilko zaczęli się usprawiedliwiać ze swych wyrazów potępienia zbrodni naprzód przed wiecem ruskim i zebraniem młodzieży na gruncie wiedeńskim, a wkrótce i przed klubem poselskim.

Więc odrazu i w kraju *Diło* zrozumiało, że można już uderzyć w strunę, która nie miała odtąd zamilknąć i na której wygrano później całą pieśń sławy mordercy, bo oto już d. 24 kwietnia 1908 pojawiły się w tem piśmie słowa: „Mordercy polityczni przechodzą do historyi i do sztuk pięknych, a poeci i artyści uwieczniają ich". W ślad za tem ogłosił twórca duchowy ruchu ukraińskiego p. Hruszewskij znany artykuł „Krew", który streszcza się w zdaniu: „Żydowska tradycya przekazała nam skreślony z głębokim pietyzmem obraz heroicznej niewiasty Judyty, która, podstępnie podkradłszy się, morduje wroga swego narodu". I tak już ciągle odtąd wysławianie zbrodni płynęło niepowstrzymaną i rosnącą falą. Wkrótce daleko już było od chwili, gdy politycy ruscy w Wiedniu piętnowali zbrodnię i odrzekali się fanatyka i rodziny fanatyków. Po pierwszym procesie stworzono „fundacyę im. Ołeny Siczyńskiej" jako „materi Mirosława" (*Diło* 3 lipca 1908). Po drugim procesie nie o zbrodni i fanatyźmie mówiono, ale o „jasnej i czystej postaci Siczyńskiego", o „jego czystej, wysoko inteligentnej i wysoko etycznej postaci", którą wynoszono na szczyty „pełnego blasku człowieka", a nawet szukano dlań, po wyroku sędziów polskich, porównania z Chrystusem: „Tak Piłat oddawszy Chrystusa na śmierć, umywał ręce, tak Judasz całował Chrystusa, sprzedawszy go wrogom" (*Diło* z 19 kwietnia 1909).

Nie byłoby tego dzikiego rozpasania, nie byłoby tego wpojenia w całe społeczeństwo ruskie jawnej czci dla mordercy, gdyby działacze ruscy czuli i widzieli, że to płazem nie ujdzie, gdyby względy dla mordercy, zupełne pominięcie jego wspólników, bezkarność wysławiania zbrodni, nie były zachętą, podniecającą zuchwalstwo.

*

Lecz oto właśnie obecnie, właśnie po tej ucieczce mordercy, która wywołała odruchowe oburzenie i którą wszyscy ludzie uczciwi odczuli jako policzek wymierzony prawu i godziwości, pojawiły się w pismach i krążą ustnie głosy nie odruchowe już, ale niejako z rozwagi zaczerpnięte, dojrzalsze, mądrzejsze: dla nas, dla społeczeństwa polskiego, doskonale się stało, że Siczyński uciekł.

Ten pogląd, który nam się każe cieszyć, choć odruchowo czujemy coś innego, poparty jest w następujący sposób. Praktycznie biorąc, Siczyński pozbawił się przez ucieczkę możności amnestyi. Moralnie biorąc, Siczyński zdarł z siebie przez ucieczkę urok bohatera.

Jednem słowem szczęści nam się jak rzadko. Zbrodniarz uciekł? Doskonale! Teraz my im damy!

Tylko że z tą wielką uciechą czujemy się jednak trochę nieswojo. A i te sprytne i dojrzałe uzasadnienia, z punktu widzenia praktycznego i z punktu widzenia moralnego, brzmią mocno, ale tylko dopóty, dopóki bliżej się nad niemi nie zastanowić.

Naprzód tedy z praktycznego punktu widzenia.

Praktyczniej jest być na wolności niż siedzieć w więzieniu. Tak rozumowali od wieków wszyscy zbrodniarze, na dłuższą karę skazani, którzy uciekali. Czy Siczyński, gdy spełniał swą zbrodnię, mógł marzyć o większem dla siebie szczęściu jak to, by uciec za granicę i bezkarnie żyć na wolności? Dzisiaj ma to, o czem i marzyć nie śmiał.

Powiada się jednak, że Siczyński wkrótce byłby korzystał z amnestyi i uzyskałby w pewny sposób wolność i możność swobodnego pobytu w kraju. Tak się mówi dzisiaj, aby sobie osłodzić ucieczkę. Ale czy rzeczywiście mógł ktoś poważnie przypuszczać, że ten zbrodniarz, że ten morderca Andrzeja Potockiego, znajdzie się kiedyś na wolnej stopie w tym kraju, że będzie żył swobodnie obok nas wszystkich i obok tych dzieci, którym podstępnie zamordował ojca?

Jeśli zaś to miało być możliwe, to już rzeczywiście wszystko byłoby możliwe, nawet i to, aby morderca także po ucieczce uzyskał zezwolenie na powrót do kraju. Bo pytamy: jeśli tamto, to dlaczego nie to także? Jeśli czyjaś wrażliwość już na tyle stępiała, że przypuszczał amnestyę z więzienia, to czemuż nie z zagranicy dla biednego wygnańca? Kto raz wszedł na tę równię pochyłą, ten zjedzie aż do końca. I rzeczywiście zjeżdżano szybko. W dniu morderstwa wszyscy byli święcie przekonani, że cała banda inicyatorów i organizatorów zbrodni nie ujdzie kary. Wkrótce przestano o nich myśleć, ale nikomu nawet nie zaświtała myśl, aby morderca nie poniósł kary śmierci i odrazu wszystkie pisma, nasze i wiedeńskie, podobnie jak prawnicy, których pytano o zdanie, uważali to za rzecz przesądzoną. Potem zaczęto mówić o zamianie na więzienie dożywotnie i ani się opatrzono, gdy z kary śmierci przyszło więzienie dwudziestoletnie. Ale niechby wówczas tym, którzy byli za takiem złagodzeniem, powiedział kto, że może nastąpić amnestya i morderca znajdzie się wkrótce wśród nas: oburzyliby się. Teraz mówiło się już o tej amnestyi jako o rzeczy niechybnej. Więc jazda dalej! Czemużby nie mówić o oddaniu narodowi ruskiemu z dalekiego wygnania tego najlepszego syna, za którym tu tęskni rodzina i społeczeństwo?

Jednem słowem, co do praktyczności, nie trzeba się mierzyć z przyjaciółmi Siczyńskiego. Już tam napewno zrobili oni tak jak było najpraktyczniej. To, żeby mógł on w krótkim czasie znaleźć się, dzięki jakiejś amnestyi, na wolnej stopie w kraju, w którym zbrodnia jego jest ciągle żywą raną, jest zbyt potworne, aby i im nie wydawało się grubo niepewnem. A jeśli to miało być możliwe, to już i powrót z zagranicy będzie możliwy. Tak czy tak, najpraktyczniej i najwygodniej było wydostać się z więzienia jak najwcześniej.

A teraz z moralnego punktu widzenia.

Ci, którzy obiecują sobie, że Siczyński przestanie być obecnie, po ucieczce dla społeczeństwa ruskiego bohaterem narodowym, są wogóle bardzo naiwni, a już całkiem nie znają tego społeczeństwa ruskiego.

Wszak ten bohater narodowy, ten wyswobodziciel, który usunął tyrana, nie miał odwagi przyznać się do tego zamiaru przed sądem i wykręcał się jak piskorz. Na pierwszej rozprawie oświadczył on, że „chotiw wykonaty zamach, szczoby założyty protest proti newolenja moho naroda, ałe o smert' namistnyka meni ne chodyło", oraz że następne strzały „buły machinalni". Ale na pytanie dlaczego te mimowolne strzały zawsze trafiały, chociaż cel się zmieniał, bo ś. p. Namiestnik to upadał to podnosił się, nie umiał zbrodniarz odpowiedzieć i morderstwo zamierzone zostało udowodnione niezbicie. Gdy zatem ten wybieg się nie udał, starano się wykręcić zbrodniarza jako chorego umysłowo i obrońca jego poseł Okuniewski wskazał, że to jedenaste z rzędu dziecko zdradza „oznaki wprawdzie nie obłąkania, ale zwyrodnienia". Gdy i to nie powiodło się, wtedy na długiej rozprawie starano się już tylko obłudnie wzbudzać litość dla bohatera zapewnieniami, że „kiedy dowiedział się on o swych śmiercionośnych strzałach, żal mu było hr. Potockiego jako człowieka, żal, że on traci życie i osieroca rodzinę", choć to były nikczemne kłamstwa, bo przecie morderca szydził nad konającym, mówiąc: „ja zabyw toho łotra", a także: „woda mu już nie potrzebna, ja tu teraz najpierwsza osoba". A jednak po tych wszystkich wykrętach i kłamstwach, mimo wypierania się zamiaru, mimo uciekania się do niepoczytalności i zwyrodnienia, mimo obłudnych zabiegów o litość, jednem słowem, mimo to, że taki Bagrow, znieprawiony służbą szpiegowską w ochranie, okazał po swym zamachu nieskończenie więcej godności niż Siczyński, został ten nędzny zbrodniarz dla społeczeństwa ruskiego „wysoko inteligentną i wysoko etyczną istotą" i nic mu to wszystko nie przeszkodziło w uzyskaniu pełnej sławy bohatera narodowego.

Nie zaszkodzi mu zatem i ucieczka. Jak wszystko tak i to pisma ruskie po swojemu uzasadnią, a społeczeństwo ruskie po swojemu odczuje. *Diło* nie zwlekało. W trzy dni po ucieczce (13 b. m. nr. 252) pisano tam: „Wystarczy stwierdzić, że w kołach rewolucyjnych nikt nie uważa za coś hańbiącego wyrwać się z rąk wroga, uciec przed sądem czy przed karą". Pismo ruskie spokojne jest o sąd swego społeczeństwa: „Nie będziemy się spierać o ocenę ucieczki Mirosława Siczyńskiego, bo nasze społeczeństwo ma w tej sprawie swoje zdanie". Niech sobie Polacy mówią co chcą: „Wszystkie te napaści nie mogą dotknąć imienia Mirosława Siczyńskiego."

Lepiej nie łudzić się naiwnemi przypuszczeniami, że Siczyński zaszkodził sam sobie przez ucieczkę, albo że rozwiał w społeczeństwie ruskiem otaczający go urok bohatera.

*

Naga prawda jest inna.

Ucieczka Siczyńskiego z więzienia jest dotkliwym ciosem, zadanym porządkowi prawnemu w naszym kraju, jest po całym dotychczasowym przebiegu sprawy mordercy ś. p. Namiestnika ostatniem uderzeniem w pojęcia prawne mieszkańców tego kraju, zachwiane dzisiaj, obalone, w gruzach leżące.

W krótkim czasie nauczyła się ludność ruska wielu rzeczy przedtem jej nieznanych. Dowiedziała się, że za podstępne i okrutne zamordowanie namiestnika zbrodniarz może nie tylko nie ponieść najcięższej kary, ale nadto doznawać szczególnych względów. Ujrzała, że moralnych sprawców zbrodni nawet sie nie szuka, choć wszyscy znają gniazdo. Przekonała się, że zbrodnię taką można bezkarnie wysławiać, a zbrodniarza wielbić bezustannie

w pismach jako bohatera narodowego. Widziała, że stronnictwo, które zbrodnię posiało, a następnie wysławiało, może być szczególnie popierane i umacniane. Doczekała się wreszcie chwili, gdy ten zbrodniarz, którego się czci i którego ręka sprawiedliwości nie umie silnie ująć, z największą łatwością wydostaje się na wolność.

Poczucie, że żyjemy w kraju, w którym rządzi prawo, że za zbrodnię ponosi się karę, a nie nagrodę, zostało zachwiane i zniszczone.

Wielki to przewrót.

Jeśli zaś podłożem takiego przewrotu pojęć stać się mogło przekonanie, że zbrodnia Siczyńskiego, jako polityczna, jest czemś, co zasługuje na wyrozumiałość, a nawet na szacunek, jeśli powoli wybudowano nie tylko w społeczeństwie ruskiem cześć dla zbrodniarza, ale i w społeczeństwie polskiem jakąś niepewność, to jest to właśnie smutny dowód, jak bardzo oddaliliśmy się od krajów, w których naprawdę włada prawo.

Prezydent Carnot we Francyi, a cesarzowa Elżbieta w Szwajcaryi, prezydent Mac Kinley w Stanach Zjednoczonych, a król Humbert we Włoszech, zamordowani zostali także nie dla zysku osobistego, ale dla t. zw. idei. Nikt jednak nie sądził, aby mordercy ich zasługiwali na jakiekolwiek względy i ponieśli też oni najcięższe kary istniejące w tych krajach bez możności wydostania się na wolność. Nikt też nie śmiał ich wysławiać. Gdyby w jakiemś piśmie francuskiem wychwalał kto mordercę Carnota, jak pisma ruskie wychwalają Siczyńskiego, gdyby ktoś wygłaszał tam takie zdania jak te, które widzieliśmy w pismach ruskich, byłby skazany na kilka lat więzienia, podobnie jak skazują tam obecnie np. Hervégo i jego przyjaciół za pochwalanie dezercyi lub nadużyć strajkowych, choć są to pochwały mniej potworne.

Bo tam się szanuje prawo i na straży jego stoją czujne władze.

U nas także są władze i może wolno będzie powiedzieć, że do obowiązków władz należy czuwanie nad tem, aby zbrodnia była należycie karana, aby zbrodniarz nie był jawnie wysławiany, aby wreszcie morderca namiestnika nie uciekał łatwo z więzienia.

W sprawie ucieczki więźnia, którego zbrodnia miała i ma ogromne znaczenie polityczne, mówić można i trzeba o odpowiedzialności prokuratoryi państwa i ministerstwa sprawiedliwości z jednej strony, a rządu krajowego z drugiej strony.

Lwowska nadprokuratorya państwa, do której bezpośrednio należy nadzór nad zakładami karnymi, ogłosiła też d. 15 b. m., za pośrednictwem rządowego Biura korespondencyjnego, oświadczenie, które ma niejako oddalić wszelkie zarzuty zarówno od niej samej jak i od jej władzy zwierzchniczej t. j. ministerstwa i ministra sprawiedliwości. To oświadczenie urzędowe warto zapamiętać. Z niesłychaną prostotą podaje ono, że lwowska nadprokuratorya ma pod swym zarządem dwa zakłady karne męskie, lwowski i stanisławowski, a Siczyńskiego oddano do stanisławowskiego, ponieważ lwowski był niepewny. Oto wszystko. I rzesze czytelników podumają sobie żałośnie, jak źle jest na świecie, bo oto tutaj zrobiono wszystko jak można było najlepiej, a zbrodniarz uciekł. Co innego jednak pomyśleliby czytelnicy oświadczenia urzędowego, gdyby znaleźli w niem jedną tylko drobną uwagę, której tam rażąco brakuje: mianowicie, że nadprokuratorya, dla względów bezpieczeństwa, może uczynić wniosek o umieszczenie więźnia w jakimkolwiek doskonalszym zakładzie karnym poza Galicyą, a ministerstwo sprawiedliwości może to zarządzić. Za tą uwagą idzie pytanie: czy wniosek taki uczyniono i należycie poparto, a jeśli tak, dlaczego minister sprawiedliwości go odrzucił? I jeszcze jednej skromnej uwagi brakuje w oświadczeniu urzędowem: mianowicie, że więzienie stanisławowskie wybrał sobie sam zbrodniarz. Więc znowu pytanie: dlaczego z pośród tylu więzień wyznaczono to właśnie, które zbrodniarz sam sobie wybrał, i dlaczego nadprokuratorya i ministerstwo nie miało wobec takiego życzenia zbrodniarza wątpliwości, które tak powszechnie wówczas wypowiadano? O tem niech nam mówi oświadczenie urzędowe. To bowiem co ogłoszono nie nadaje się dla ludzi dorosłych i rzeczywiście litować się trzeba nad krajem, w którym możliwe są takie wyjaśnienia urzędowe.

Także rząd krajowy, a zatem p. Namiestnik, nie jest wolny od odpowiedzialności w tej sprawie. Szerzy się wprawdzie u nas obecnie inne poglądy i np. *Czas* (z d. 11 b. m.) bardzo zgrabnie odsunął jakąkolwiek odpowiedzialność p. Namiestnika: „Nadzór nad więzieniami należy, jak wiadomo, do prokuratoryi państwa, podporządkowanej ministerstwu sprawiedliwości, a niezależnej od namiestnictwa i sądownictwa“. Jeśli tak, to po cóż zaraz po ucieczce p. nadprokurator Hinze odbył naradę z p. Namiestnikiem, o czem doniosło c. k. Biuro korespondencyjne? Cała rzecz w tem, że tę naradę trzeba było odbyć nie po ucieczce, ale przed ucieczką, np. dwa lata temu. Po co tu kręcić. Nadzór nad więzieniami należy do prokuratoryi państwa i do ministra sprawiedliwości. Ale gdy chodzi o sprawę tak doniosłą politycznie jak sprawa mordercy ś. p. Namiestnika, to władza polityczna może i powinna zażądać od ministerstwa sprawiedliwości szczególnej ostrożności i wyznaczenia więzienia zupełnie pewnego. O tem, że stanisławowskie, wybrane przez samego zbrodniarza, jest niepewne, wiedzieli wszyscy i mówili głośno, więc powinien był wiedzieć także p. Namiestnik, a co za tem idzie, powinien był, ze względów politycznych, odsunąć możność i niebezpieczeństwo ucieczki. Jeśli naczelnik rządu krajowego powie stanowczo, że uważa to za konieczne, zdanie jego nie może być zlekceważone. To wszystko jest aż nadto jasne.

Ale, aby niebezpieczeństwo zażegnać, trzeba je widzieć i trzeba z niem walczyć.

Trzeba rozumieć, że robota obozu ukraińskiego to nie zabawa, ale doskonale obmyślana i przeprowadzana dążność do poderwania w kraju wszelkich zasad prawnych, a przedewszystkiem do obalenia ich w umysłach ludności ruskiej, stała i ciągła dążność do ośmielenia i rozzuchwalenia tej ludności, aż stanie się ona tem, czem chcą ją mieć polity-

cy rusko-ukraińscy: olbrzymią watahą na wszystko gotową.

Każda bezkarność znakomicie pomaga temu ruchowi tak przewrotowemu, jak żaden inny w dzisiejszej Europie.

Dopiero, gdy to się rozumie, można należycie ocenić rozmiary przewrotu, jaki dokonywa się w kraju dzięki takiej bezkarności.

Bo oto jakie są wyniki.

Namiestnik Andrzej Potocki leży w grobie. Organizatorów zbrodni nawet nie szukano. Stronnictwo ukraińskie, z którego zbrodnia wyszła, idzie w górę. Zbrodniarz sam, jawnie wysławiany i czczony, jest już na wolności: Mirosław bezpieczny.

Tak się streszcza i tak musi się streszczać w pojęciach ludności ruskiej to co się stało w ostatnich trzech latach.

I to właśnie jest ten przewrót, ogromny i groźny przewrót: osłabienie i zniszczenie poczucia, że jest prawo i że ono włada w kraju.

Jest to ciężka krzywda, wyrządzona naszej przyszłości w tej dzielnicy.

Generał Zamoyski.

(*Generał Zamoyski, 1803—1868,* Tom I, 1803—1830. — Poznań, nakładem Biblioteki Kórnickiej, 1910. — 8⁰ str. 1 nl. + 441 + 11 nl.).

Viro forti, strenuo, pio, prudenti, artium bonarum fautori, Patriae rebus etiam afflictis ac desperatis ad mortem usque deditissimo, Polonis desideratissimo hoc monumentum poni curavit piissima uxor, illustris femina — tak należałoby napisać na pierwszej karcie tego wydawnictwa. Ze wspomnień dorywczo w latach 1858—1867 dyktowanych lub spisywanych przez Władysława Zamoyskiego, z jego notatek współczesnych o ludziach i wypadkach, z obszernej korespondencyi i z aktów urzędowych zachowanych w rodzinie ułożyła tę książkę wdowa, z domu Działyńska. Nie jest to ani wydanie krytyczne pamiętników, bo ich zresztą w wykończonej formie Zamoyski nie zostawił, ani życiorys obcą, nieczułą kreślony ręką, ale zestawienie materyałów biograficznych przez towarzyszkę ostatnich lat generała, która sama jest wcieleniem najpiękniejszych tradycyi z minionej epoki wielkiej emigracyi.

Już w r. 1868 w roczniku Towarzystwa literackiego w Paryżu, pod świeżem wrażeniem zgonu generała Zamoyskiego, podano najistotniejsze wyjątki z jego wspomnień w nekrologu pióra Bronisława Zaleskiego. Dlatego siedem początkowych rozdziałów książki nie obudzi dzisiaj wielkiego zainteresowania. Są to dzieje pierwszej młodości (1803—1814) ustęp o księciu Czartoryskim i Kongresie wiedeńskim, o domu rodzinnym w latach 1814—1816, o naukach w Genewie (1817—1820) i pobycie w Berlinie (1820—1822), o początkach służby wojskowej (1822—24) i służbie oficerskiej w Warszawie, w Lubelskiem i na Podlasiu. Dopiero od rozdziału o sądzie sejmowym, więc od wstąpienia na tron Mikołaja I, opowiadanie bije żywszem tętnem krajowych zdarzeń.

Zjechał wtedy do Warszawy na sąd książę Adam, a Władysław Zamoyski przy nim rozpoczął prace polityczne, które zmierzały do powiadomienia Europy zachodniej o biegu spraw w Polsce, a które odtąd wspólnie prowadzić będą lat z górą trzydzieści. W marcu 1828 r. mianowany adjutantem w. ks. Konstantego staje w pośrodku ludzi przeważnie wpływających na losy Królestwa kongresowego. Zbliżał się też i moment, kiedy przypadnie mu po raz pierwszy rola historyczna, zgoła nie pierwszorzędna, ale i nie bez znaczenia: będzie pośrednikiem między wielkim księciem a Rządem narodowym, tworzącym się w Warszawie po wypadkach nocy listopadowej. A tę noc burzliwą liczne zapowiadały znaki.

Ledwo wzniesione już do zachodu chylić się poczęło słońce narodowego bytu Królestwa. W Radzie administracyjnej Marcin Badeni od początku zwykł był mawiać: „Na stole konstytucya, pod stołem knut“, po śmierci zaś Aleksandra I z większą jeszcze słusznością można było z nim powtarzać: „Teraz knut na stole, a konstytucya pod stołem“. Trudną stawała się obrona już nie swobód, ale samej narodowości. Jakkolwiek bowiem twórca Królestwa Polskiego od r. 1818 ulegał prądom reakcyjnym, przecież ku podniesieniu serc, jeszcze za ostatniego w Warszawie pobytu, mówił „o swoim ulubionym zamiarze przyłączenia zabranych prowincyi do Królestwa“, o „spodziewanych stąd dla Rosyi korzyściach, o postawieniu w Polsce wzoru ustaw, według którego los Rosyi następnie dałby sie ulepszyć“. Myśl tę rzucał „o tyle śmielej, że w przeczuciu bliskiego końca za wykonanie jej nie czuł się już odpowiedzialnym“. Zaś rządy Mikołaja niweczyły wszelkie te nadzieje. Sąd sejmowy był zapowiedzią zmiany czasów. Potem za koronacyi utrwaliło się przekonanie, że próżnoby się spodziewać dłużej, aby Królestwo mogło być pierwszym szczeblem do wskrzeszenia Polski. Taka była istota sporu. Starcie więc stawało się nieuchronnem. Parły doń z naszej strony żywioły skrajne, nie bacząc czy pora i okoliczności są odpowiednie, jako że politycznie zgoła niedoświadczone, Moskwie zaś pożądana była wszelka sposobność do wydarcia nam reszty samodzielnego istnienia, odrębnych ustaw i wojska. Tatiszczew, poseł roryjski w Wiedniu, na wieść o wybuchu powie te słowa złowieszcze: „Ktokolwiek dobrze życzy naszemu cesarzowi, cieszyć się powinien z polskiego powstania; położy ono wreszcie koniec tej anomalii, wylęgłej w niedowarzonej głowie Aleksandra“.

Dziwna zaiste była rola w. ks. Konstantego wobec tej gotującej się walki. Wszak wybuchy jego dzikości były zarzewiem spiskowej roboty, a przecież w latach ostatnich, może z przekory, on właśnie bronił armię polską, a przez to i Królestwo i pośrednio prowincye zabrane przed wielu wrogimi zakusami Rosyi. I tak to się stało, że Moskale towarzyszący Mikołajowi w czasie pobytu w Warszawie bardzo się wobec Polaków oburzali na gwałty brata cesarza i jakby naigrawając się i prowokując, twierdzili, „że zasługuje na swoje losy naród, w którego łonie w przeciągu piętnastu lat nie znalazł się nikt zdolny poświęcić siebie jednego dla ocalenia wszystkich“ i wprost

„podsuwali prawie myśl zbrodni“. Te i dalsze uwagi Zamoyskiego z okresu służby w Belwederze są ciekawe, chociaż oczywiście inaczej, w wyrazach pełnych pogardy mówił o różnych postępkach carewicza współcześnie, w nielicznie zachowanych zapiskach, a inaczej formułował swe sądy ogólne już w oddaleniu miejsca i czasu, na tułactwie i u schyłku żywota wypełnionego po brzegi doświadczeniem wszystkich nieszczęść narodu.

Wielki książe jakby usprawiedliwiał się przed ordynatem z powołania Władysława do swego boku: „Przepraszam pana, żem mu syna zabrał, ale myślałem, że w tych rewolucyjnych czasach trzeba mieć jednak w swojem otoczeniu kilku uczciwych ludzi“. I ze szczególną łaskawością przyjął nowego adjutanta. Mimo to czujność Zamoyskiego nie dała się uśpić. Ostrzegł go zresztą Turno, pierwszy z adjutantów Polaków, aby nie pozwolił się użyć za faworyta. „Radzę ci, mówił, być w służbie pilnym i dokładnym, ale względem osoby w. księcia zachowywać się z chłodnem uszanowaniem“. Jakoż z całym krytycyzmem młody Zamoyski po pierwszym dniu służby na dworze Konstantego Pawłowicza i księżnej Łowickiej zapisuje: „Zarozumiałość obojga nie do pojęcia i jego i jej — dowód gł(upoty)“. Potem, w kwietniu tegoż roku, ogarnia go gniew i rozpaczliwe zniechęcenie, gdy słyszy w Belwederze szydercze drwiny ze starości naczelnika Kościuszki. Wkrótce jednak musiał dostrzec obok gburowatości żołdackiej, rozwiniętej życiem po koszarach i rozpustą, także ślady wykwintnej uprzejmości dworu Katarzyny. Zresztą już w tym czasie polityka i ożenienie się odwróciły carewicza od wielu brudnych upodobań i przywyknień. „W ostatnich zwłaszcza latach jego rządów w Warszawie zaszła wielka zmiana w jego postępowaniu. Zapragnął być kochanym, chciał mieć tę sławę wobec Europy“. Społeczeństwo a przedewszystkiem wojsko poddając się jego niedorzecznym wymaganiom ujęło go dla Polski. Doskonałość mechaniczną w musztrze doprowadzono do ostatecznych granic aż z upodleniem żołnierskiego zawodu. Parady na placu Saskim były czemś na kształt baletu. „Podobieństwo do baletu miało szczególniej defilowanie batalionu, co się odbywało czasem po razy kilka, według humoru, to krokiem t. zw. zwyczajnym, to podwójnym albo biegiem przy muzyce pułkowej, której w. książe, bijąc ręką o udo, naznaczał takt, przyspieszając lub zwalniając takowy“. Sprawność tę w pierwszych latach osiągano często biciem, którego wprowadzenia w. książę najusilniej się domagał. W pułkach polskich robiono przecież wszystko, aby do żądanej doskonałości dojść można bez ściągania na siebie gwałtów. Patrzał na to obejście swej woli carewicz „przez lat kilka z podejrzeniem, potem z pobłażaniem, na końcu już i życzliwie; skończył na tem, że sam podpisał rozkaz dzielący żołnierzy na trzy klasy, z których trzecia tylko mogła być cielesnie karaną“. Niemniej nad Warszawą ciężyła nieustanna obawa jakiegoś ciosu. „Nikt o w. księciu nie myślał bez pewnej trwogi. Turkot jego kolaski sprawiał popłoch dokoła. Na ten odgłos wojskowi macali się po guzikach i haftkach... Cywilni także lękali się, że ich ubranie się nie spodoba, czy to że mają włosy lub wąsy za długie, czy kapelusz o zbyt szerokich brzegach i t. p. Każdy... jakby mimowoli skłonny był w. księciu przypisywać przyczynę wszystkich nieszczęść“. Zamoyski nie był przytomny żadnemu ze strasznych wybuchów dzikości Konstantego, ale miał o nich wiadomość i dzielił z ogółem dawną głęboką odrazę do w. księcia i poczucie niezmiernej szkody, jaką krajowi naszemu zadawał. Nie doceniano zmian, jakie zwolna dokonały się w jego usposobieniu, że innym stał się od śmierci Aleksandra w postępowaniu względem spraw krajowych i wiadomych mu uczuć samychże Polaków. „Dotąd najczęściej te uczucia w żarty obracał, a dla ustaw... okazywał pogardę tylko. Od lat kilku atoli, a jeszcze bardziej od sejmu 1830 inaczej się odzywał. Zamiast ustawicznego dowcipkowania z podobnie brzmiących wyrazów konstytucya i konfuzya, wyrażał zdania oparte na dobrze pojętym interesie Polaków. Chciał pokazać, że się na zasadach konstytucyi rozumie lepiej od cara i wszystkich Moskali. Nieustannie powtarzał, że cierpliwe umiarkowanie najskuteczniej sprowadzi polepszenie losów Polski... Mawiał, że niema lepszego Polaka nad niego“.

Ale wszystko to było za późno. Nawet za ten pojednawczy nastrój wypadło drogo zapłacić, bo w. książe zrobiwszy przez piętnaście lat wszystko, ażeby kraj rozjątrzyć, niczego nie przedsięwziął dla zapobieżenia skutkom rozjątrzenia. Co więcej przez to, że nie wierzył w gotujące się powstanie, przyczynił się do jego wybuchu. Na krótko przed 29 listopada czyniąc uwagi nad ogólnym stanem zamąconej Europy mówił do Zamoyskiego: „Ileż to było narzekania na mnie i na rządy moje... a przecież wśród powszechnego wstrząśnienia jeden tylko kraj, ten, którym ja rządzę, jest zupełnie spokojny“. Następnie zwracał uwagę na bezpieczeństwo osobiste, którego sam używał, gdy w Belwederze nie stała nawet honorowa warta, tylko przy kracie od dziedzińca zaciągano po dwóch inwalidów, uzbrojonych w pałasze. I rozwodził się nad poczciwością i potulnością ludu polskiego. Nie chciał dać wiary doniesieniom, które zewsząd napływały, o bliskiej rewolucyi, chociaż już i dzień rozpoczęcia naznaczano na 15 października, jako rocznicę śmierci Kościuszki. Potem podawano inne terminy. Napróżno jednak Nowosilcow wraz z Rożnieckim i wiceprezydentem miasta Lubowidzkim jeszcze 28 listopada nastawali na w. księcia, aby przedsięwziął potrzebne kroki przeciwko wybuchowi, ale on sprzeciwił się temu, a także policya moskiewska zaprzeczała wszystkiemu. Należący do niej pułkownik Sass, z rodu Kurlandczyk, w mniemaniu, że Polacy tylko za zgodą Rosyi mogą odzyskać zabrane prowincye, mówił otwarcie: „Oni wszyscy chcą niepodległości i dla tego właśnie terazby powstania nie chcieli; waryatami nie są“. W sam dzień 29-go jeszcze minister Mostowski zaręczał: „Powstania nie będzie i być nie może, chyba żeby wzięto początek z wojska, a tam policya moja nie sięga“. Zaś wojsku w. książe ufał, jako że winne mu było wdzięczność za sprzeciwienie się uży-

ciu go na wojnę z Francyą po rewolucyi lipcowej. Zresztą zapewniał go generał Stanisław Potocki: „Gdyby było powstanie istotne, tożbym do niego należał“. I rzeczywiście nikt ze starszyzny nie był wtajemniczony w insurekcyjne zamiary, które nurtowały zarówno sfery cywilne jak wojskowe, a Chłopicki zapytany o sąd w tej sprawie mówił z gniewem, zapalczywie, że każdy z osobna i wszyscy razem powinni wszelki ruch podobny tłumić i w każdym razie z nim się nie łączyć. Pozostał więc w nieświadomości i Władysław Zamoyski, chociaż poprzednio, za pobytu Mikołaja w Warszawie, chcieli spiskowi użyć go w chwili zamachu na cara.

Wybuch zaskoczył go w pałacu rodzinnym. Pozostał tam bierny przez godzin kilka w przekonaniu, że ruch będzie wnet stłumiony i zakończy się potężnem śledztwem, w którem każdy z osobna z każdego kroku swego będzie się musiał tłumaczyć. Dopiero na wezwanie jednego z moskiewskich kolegów w służbie pospieszył do w. księcia w Alejach Ujazdowskich. Wysłany do miasta po wiadomości znosi się na placu Bankowym ze Stanisławem Potockim, dowodzącym wszystką piechotą w Warszawie. Miał on jednak tylko kilka kompanii pod sobą i ledwie z życiem uszedł z pod arsenału. „Powiedz w. księciu“, zalecał Zamoyskiemu, „żeby nie liczył na naszą piechotę do tłumienia powstania. Swoi do swoich strzelać nie będą. Ale w. książe ma dosyć jazdy, może bez strzału, prostem pędzeniem szwadronami kłusem raz po raz po ulicach, ludność rozprószyć, choć ta już arsenał zdobyła. Jedyny to dla niego ratunek, ale niech czasu nie traci, od trzech godzin powinien to był zrobić; nie przestaję domagać się tego. Wojska w powstaniu pewno niewiele“. Z rozterką w duszy Zamoyski zdał ten raport, w. książe nie chciał jednak użyć swojej jazdy i mówił: „Żaden Rosyanin nie wmiesza się w tę sprawę. Polacy ją zaczęli, niech się sami między sobą rozprawią“. Więc Zamoyski ruszył wprawdzie z polskim pułkiem strzelców konnych, z generałami Krasińskim i Kurnatowskim, w miasto, ale wkrótce wyprzedzając ich pospieszył do Czartoryskiego, aby mu powtórzyć słowa carewicza. Potem już z polecenia księcia Adama zajął się zwołaniem członków Rady administracyjnej, gęsto ostrzeliwany w drodze przez grenadyerów nieufnie patrzących na jego adjutancką kitę. Odtąd pośredniczy w próbach porozumienia Rady z w. księciem, rozwozi jej odezwy, poprzedza jej deputacye, krąży między Mokotowem a Warszawą i stara się pogodzić obowiązki przysięgi służbowej i honoru z powinnością obywatela. W tej misyi dyplomatycznej ucieka się do pomocy konsula pruskiego Schmidta i wierzy w szczerość jego poparcia i współczucia. Nie zdołał ostatecznie uzyskać od w. księcia żadnej obietnicy politycznego znaczenia, tylko pozwolenie dla reszty wojsk polskich złączenia się z rewolucyą. Pułki te nie czekając końca układów szły ku Warszawie. Już w drodze dopędził je Zamoyski.

Z ogromną większością przewodników społeczeństwa polskiego nie miał wiary w powodzenie walki. Ale oto z serca i mózgu usuwał się nagle kamienny ciężar niewoli. Całą jego istotę ogarniał płomień. Bo wbrew wszelkim ludzkim rachubom można było zwyciężyć. *A. M. S.*

Nasze sprawy w przedstawieniu obcych podręczników szkolnych.

(Pod adresem polskich Towarzystw pedagogicznych, a w szczególności Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych.)

Niezwykłe powodzenie publikacyi wydanej w języku francuskim pod redakcyą dra Eugeniusza Piaseckiego p. t. „*Les écoles polonaises*“, która doznała jak najlepszego przyjęcia na kongresach pedagogicznych, paryskim i brukselskim, i doczekała się już paru nowych opracowań zagranicznych i wielu najżyczliwszych opinii w pierwszorzędnych organach prasy zagranicznej, dało mi zachętę, ażeby podnieść publicznie myśl wydawnictwa, przeznaczonego również przedewszystkiem na użytek zagranicy, a poświęconego przedstawieniu kwestyi: jak wyglądają nasze sprawy, nasza historya i nasze stosunki współczesne w oficyalnych podręcznikach obcych, przeznaczonych na użytek szkół średnich i ludowych.

Muszę powiedzieć, że myśl takiej publikacyi powraca mi już parokrotnie, a za każdym razem wydaje mi się i pilniejszą i możliwszą do urzeczywistnienia.

Oczywiście, nie można się ani na chwilę łudzić, ażeby tą drogą można było bezpośrednio oddziałać na pożądaną zmianę tam, gdzieby się tej zmiany najwięcej pragnęło, t. j. w podręcznikach szkolnych pruskich i rosyjskich. Gdzie fałsz podniesiony jest do godności zasady, gdzie zasadę fałszowania opinii podtrzymuje systematycznie ślepa nienawiść, trzeba się oczywiście zadowolić na razie jedynie tą korzyścią, jaką daje zawsze zdemaskowanie przeciwnika i przedstawienie wobec trzecich, jaki jest stan rzeczy w świetle ścisłej, objektywnej prawdy.

Zadań projektowanej publikacyi cel ten jednakże żadną miarą nie wyczerpuje. Jest rzeczą zrozumiałą i znaną powszechnie, że najczęściej źródłem krzywdzącej, często nawet ubliżającej, a w każdym razie nieprawdziwej opinii zagranicą o Polsce i Polakach, źródłem błędów, wad, luk, niedostatków i nierównomierności w pojmowaniu i przedstawianiu spraw polskich nawet u naszych najbliższych sąsiadów w państwie austryackiem jest ostatecznie nieznajomość rzeczy, wygrywana od dawna przeciwko nam przez tych, którym na naszej złej sławie zależało więcej, niż nam na dobrej.

Tej nieznajomości rzeczy nie mogą dosyć skutecznie przeciwdziałać doraźne, okolicznościowe publikacye (nie mówię tu o znakomitej, a podniesionej już z kilku stron, a przedewszystkiem ze strony kierowników paryskiego informacyjnego biura Rady Narodowej, myśli wydawania na użytek zagranicy, stałego rocznika polskiego, obejmującego całokształt spraw polskich, na wzór znanych w literaturze politycznej francuskiej i angielskiej roczników rozmaitych narodów i grup, nawet n. p. żydów

angielskich), których celem jest działanie za pośrednictwem zagranicznej prasy codziennej. Wydawnictwa takie, jeżeli są dobrze postawione, a zwłaszcza, jeżeli nie są poświęcone wyłącznie tylko przedstawieniu jakiejś specyalnej kwestyi politycznej i to niekoniecznie zagranicą aktualnej, lecz owszem są nawiązane do jakiegoś powszechnego i w danej chwili żywotnego prądu lub zagadnienia (w danej n. p. chwili bardzo żywe zainteresowanie międzynarodowe zdają się budzić kwestye wychowania i wykształcenia) mogą przynosić i, jak doświadczenie uczy, przynoszą rzeczywiście, mimo chwilowego i sporadycznego działania, znaczne korzyści moralne. Z tego też względu nie jest bynajmniej zamiarem piszącego zniechęcać kogokolwiek na przyszłość do ich podejmowania, tem mniej, że twierdzenie, jakobyśmy i takich wydawnictw mieli dosyć, nie byłoby niczem uzasadnione.

Mimo to, jest zrozumiałym faktem, że jak u nas, tak i wszędzie, przed dziennikarstwem i to w sprawach najbardziej zasadniczych opinię ogółu kształtuje szkoła, a znowu w szkole, biorąc na uwagę stosunki normalne, o kierunku uczuć i najbardziej elementarnych poglądów i ze względu na ucznia i nauczyciela decyduje podręcznik szkolny.

Z tego faktu wypada wysnuć konsekwencyę.

Pozwolę sobie naszkicować, jak mi się przedstawia sposób wykonania podniesionego projektu:

Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych (o ile bliższe zajęcie się tą sprawą uzna za stosowne) w porozumieniu z innemi analogicznemi instytucyami polskiemi: 1) zbiera (ewentualnie także drogą rozpisania składek w pismach publicznych) potrzebne na ten cel fundusze; 2) gromadzi (ewent. przy pomocy towarzystw zakordonowych i jednej z światowych firm księgarskich) potrzebne, a przynajmniej najważniejsze podręczniki szkolne do nauki historyi, geografii, historyi literatury i książki szkolne typu „czytanek“ i „wypisów“; 3) powierza kilku lub nawet kilkunastu osobom, dobrze obeznanym z przedmiotem przeprowadzenie rewizyi zebranych podręczników i zestawienie w tekście autentycznym i przekładzie polskim wszystkich ustępów, odnoszących się bądź do przeszłości, bądź do współczesnych stosunków polskich.

Tak zebrany materyał powierza się paru naszym najlepszym znawcom powszechnej i polskiej historyi, geografii i historyi literatury, ażeby ci, po bliższem rozpatrzeniu się w materyałach i po porozumieniu się co do jednolitej metody we wszystkich działach, opracowali na zaproszenie Towarzystwa projekt wydawnictwa. Nie przesądzając sprawy pod tym względem, wyobrażam sobie, że pożądany cel możnaby osiągnąć albo tą drogą, ażeby wydawnictwo podało część zebranych materyałów *in crudo* (tu znaležćby się mogły przedewszystkiem ustępy podręczników pruskich i rosyjskich) z dodaniem umiejętnego, chociażby najbardziej lakonicznego komentarza, albo tą drogą, ażeby w wydawnictwie takiem znalazło się przedewszystkiem opracowanie pozytywnego zarysu najważniejszych wiadomości polskich, tak ułożone, ażeby przez proste zestawienie, przy pomocy odpowiednich środków technicznych, okazały się jasno wszystkie fałsze, błędy, niedokładności i nierównomierności ustępów przytoczonych podług zebranych podręczników szkolnych.

Same podręczniki mogłyby po użyciu być oddane do „Muzeum szkolnego“ i stanowić tam cenny nabytek, z któregoby w przyszłości można jeszcze korzystać w niejednym celu. Wydawnictwo zaś, któreby tą drogą doszło do skutku, dokonane przy współdziałaniu osób i instytucyi, które ze względu na swój charakter oficyalny cieszą się zagranicą odpowiednim autorytetem, zostałoby następnie rozesłane wszystkim pedagogicznym, a także najważniejszym politycznym organom prasy zagranicznej, odpowiednim, t. j. poświęconym sprawie oświecenia publicznego towarzystwom prywatnym i organom publicznym.

Bardzo być może, że sposób wykonania nie we wszystkiem okaże się możliwy i praktyczny. Będę szczęśliwy, jeżeli się znajdzie inny, lepiej odpowiadający celowi. To wydaje mi się niewątpliwem, że rezultat odpowie przynajmniej wyłożonym trudom i kosztom.

Edward Dubanowicz.

Nowi ministrowie Polacy.

Sprawa udziału polityków polskich w rządzie załatwioną została w Kole Polskiem dnia 17 i 18 b. m. dosyć doryweczo.

Jeszcze przed reformą wyborczą, mianowicie od powołania gabinetu Becka w czerwcu 1906, stosunki polityczne tak się ułożyły, że w każdym gabinecie oprócz ministra Galicyi zasiadał drugi minister Polak. Mianowicie: Dzieduszycki — Korytowski; Abrahamowicz — Korytowski; Abrahamowicz—(Jorkasch-Koch)-Biliński; Dulęba—Biliński; Zaleski—Głąbiński.

Po wyniku ostatnich wyborów p. Głąbiński ustąpił i od tej chwili zasiadał w gabinecie tylko p Zaleski, jako minister Galicyi.

Stało się to oczywiście tylko dlatego, iż zarówno po ustąpieniu p Głąbińskiego (24-go czerwca 1911) i zastąpieniu br. Bienertha przez br. Gautscha na czele gabinetu (28-go czerwca 1911), jakoteż w chwili powołania gabinetu hr. Stürgkha (3 listopada 1911) kierownicy polityki naszej nie sądzili, że należy dążyć do zajęcia drugiego miejsca polskiego w gabinecie. Tylko dlatego, bo gdyby byli uważali, że jest to pożądane, trudności ze strony rządu z pewnością by nie było, o czem wszyscy wiedzą doskonale.

Niektórzy śmielsi gracze polityczni starali się wprawdzie także ten prosty i oczywisty stan rzeczy przedstawić inaczej i stworzyć jeszcze jedną legendę o zdobyczach nowego Koła Polskiego.

Na walnem zebraniu prawicy narodowej d. 12 b. m. mówił p. W. L. Jaworski: „Gdyśmy zostali wybrani i gdyśmy poszli do Wiednia, to wtedy był jeden tylko polski minister, bo drugi, minister kolei, dr. Głąbiński, wskutek nakazu tylko swojego stronnictwa, a nie Koła Polskiego, złożył tekę; więc to jest

ten spadek, któryśmy objęli; my mamy odrobić to, co się stało...; myśmy to odziedziczyli po poprzedniem Kole; za poprzedniego Koła nastąpiło to obniżenie wpływu, a my to dopiero mamy odrobić". Tosamo mówił tam następnie z jeszcze grubszą śmiałością p. Halban.

Nie po dawnem Kole Polskiem odziedziczyło nowe Koło jednego tylko ministra, bo dawne Koło przez cały czas zachowało i pozostawiło dwu ministrów polskich. Nie po dawnem Kole Polskiem zatem, lecz dopiero po polityce ostatnich wyborów odziedziczyło Koło Polskie nowy stan rzeczy. Wybory te przeprowadzał p. Namiestnik właśnie w tym duchu, by zupełnie zniszczyć wpływ polityczny p. Głąbińskiego. Jeśli o kim, to o p. Bobrzyńskim można zatem powiedzieć, że „wskutek nakazu własnego i swoich stronnictw a nie Koła Polskiego" podkopywał wówczas jednego z ministrów pozostawionych przez dawne Koło Polskie. Powiodło się to p. Namiestnikowi i p. Głąbiński musiał ustąpić: na co miał czekać, czy może na to, by zjechali się ci, którzy chcieli, tak, jak to było w bajce, kopać go, gdy już leżał, a teraz dąsają się, że im odebrał tę przyjemność.

Po co zatem mącić sprawy bardzo jasne i przejrzyste i ośmieszać zebranie, na którem tak można mówić o polityce?

Wszak wszyscy rozumni ludzie i tak rozumieją, że ci, którzy mieli dosyć sił na to, aby obalić p. Głąbińskiego, powinni byli mieć ich także dosyć i na to, by go zastąpić odrazu, o ile to było potrzebne.

Nie zrobiono tego w dniach 24 do 28 czerwca, gdy przychodził br. Gautsch. Być może, iż wtedy nie należało tego robić. Nie zrobiono tego także d. 3 listopada, gdy przyszedł hr. Stuergkh. Bo wtedy (wedle słów posła Jaworskiego, na zebraniu walnem prawicy narodowej) „w nieprzewidziany sposób rząd się zmienił". Znaczy to w sposób nieprzewidziany dla Koła Polskiego. Więc naprzód nie wszedł drugi minister polski do nowego gabinetu, ale nie było to postanowienie przemyślane, bo w kilka dni później, gdy zdarzyła się sposobność, postanowiono zająć drugie miejsce, choć zmiana zasadnicza nie zaszła, a wtedy, w dn. 17 i 18 b. m., trzeba to było załatwić na gwałt, dorywczo, siląc jednego z przyszłych ministrów do teki, której nie chciał, rozbijając się za drugim.

Pismami cesarskiemi z dn. 19 b. m. mianowani zostali p. Zaleski ministrem skarbu, a p. Długosz ministrem Galicyi.

Co do p. Zaleskiego, pierwszem uczuciem jest żal, że opuścił stanowisko ministra Galicyi, którego on sam także porzucać nie chciał i długo się opierał. W chwili obecnej bardziej jeszcze niż kiedykolwiek potrzebny tam był taki polityk rozważny, wytrawny, samodzielny i wpływowy. Przechodzi zaś p. Zaleski, jako minister skarbu, do zadań bardzo trudnych, w chwili szczególnie ciężkiej. Uzdrowienie skarbowości austryackiej trudno sobie wyobrazić bez zmian bardzo szeroko zakrojonych i wymagających długich przygotowań. P. Zaleski zaś, który okazał wielkie zdolności na dotychczasowych polach swej działalności, wchodzi w dziedzinę nową. Kto wie, czy w obecnych stosunkach będzie miał on, choćby między swoimi, poparcie tak szczere i tak pełne, jakiego mu potrzeba. W każdym razie życzy mu powodzenia społeczeństwo nasze.

Ministrem Galicyi nie chciał zostać p. Kędzior, budząc ogólny szacunek niezłomną stanowczością, z jaką odmówił objęcia stanowiska przedewszystkiem politycznego, podczas gdy on jest znakomitą siłą zawodową i uważał, że na grunt polityczny wstąpił od zbyt niedawna. Mianowanie p. Długosza stanowiło następnie przedewszystkiem pewną ulgę po innych nazwiskach, któremi nas straszono. P. Długosz zna się z pewnością na sprawach gospodarczych, przemysłowych i rolniczych, a w pracy publicznej pragnie dobra kraju. Nie jest to może wszystko, ale jest już bardzo dużo. Nie bez znaczenia jest i to, że do rządu wchodzi przedstawiciel stronnictwa ludowego, a człowiek poważny. W sprawach politycznych liczy niewątpliwie p. Długosz na współdziałanie p. Zaleskiego.

Wiadomości polityczne.

Co się konfiskuje, a czego nie.

W ostatnim zeszycie *Rzpltej* został skonfiskowany końcowy ustęp artykułu p. t. „Ucieczka Siczyńskiego". Prokuratorya państwa uznała, że w ustępie tym, omawiającym odpowiedzialność rządu krajowego, mieściło się „podawanie władzy w nienawiść lub pogardę".

Zdarzyło się to pismu naszemu po raz pierwszy. Wogóle bowiem nie pisuje się tutaj przeciw prawu, lecz przeciw poniewieraniu prawa.

Dziwne rzeczy dzieją się w naszym kraju.

Po ucieczce Siczyńskiego skonfiskowano artykuł *Rzpltej* z d. 11 b. m. i artykuł lwowskiego *Gońca* z d. 14 b. m., a zatem dwa artykuły, wyrażające oburzenie z powodu ucieczki zbrodniarza. Ale nie skonfiskowano ani jednego słowa w pismach ruskich, które dawały bardzo przejrzyście wyraz zadowoleniu i radości z powodu ucieczki zbrodniarza, jak *Diło* (z d. 13 b. m.), które zwracało uwagę, że „w kołach rewolucyjnych nikt nie uważa wyrwania się z rąk wroga za coś haniebnego", że zatem „nasze społeczeństwo ma swoje zdanie w tej sprawie", a nic „nie może dotknąć imienia Mirosława Siczyńskiego", albo jak *Narodne Słowo*, które uspokajało ludność ruską, że zbrodniarzowi pomogli ludzie, „którzy znają się na takich sprawach i umieją każdej sytuacyi zajrzeć w oczy", a zatem „Mirosław bezpieczny". To drukowano swobodnie, nawet tłustym drukiem.

Lecz także co do „podawania władz w nienawiść lub pogardę" można zauważyć, przy sposobności tejsamej sprawy ucieczki, ciekawe przykłady dwóch miar.

W *Dile* (z d. 16 b. m. nr. 255) pisze ksiądz ruski Aleksander Stefanowycz o zbrodni Siczyńskiego w ten sposób:

„Samowilne i brutalne doptanie praw ruskoho naroda czerez pok. namistnyka, dowiedenie do gromadnoho masakrowania nawit ne-

wynnych ruskich ludij, niż nimi żinok i ditij (Lackie, Koropiec), trunyło idejnoho mołodca, wielmi czutliwoho na krywdy swoho naroda, do otczajannoho porywu".

Wolno pisać, że ś. p. Namiestnik samowolnie i brutalnie deptał prawa, że doprowadzał do masakrowania niewinnych kobiet i dzieci. Wolno bezwstydnemi kłamstwami „podawać w nienawiść i pogardę" władze zmarłe, tak niedawno zmarłe, że skutki takich nikczemnych zarzutów i podburzań są ciągle bardzo żywe i bardzo szkodliwe zniepprawianiem umysłów.

A tak się pisze w pismach ruskich stale.

Czy zmiana kursu w zab. rosyjskim?

Gdy p. Kokowcow zajął fotel prezydyalny w petersburskiej Radzie ministrów, wśród rosyjskich organizacyi monarchicznych i nacyonalistycznych rozeszły się hiobowe wieści, iż nowy prezes ministrów nie ma zamiaru kontynuować nacyonalistycznej polityki swojego poprzednika. Aby radzić nad niebezpieczeństwem zjechali się w Petersburgu spłoszeni przedstawiciele bratnich organizacyi: związku narodu rosyjskiego, izby Michała Archanioła, klubu rosyjskiego i wszechrosyjskiego związku nacyonalistów. Po naradach odbytych pod przewodnictwem p. Puriszkiewicza postanowiono zwrócić się do premiera z memoryałem w sprawach: żydowskiej, finlandzkiej i polskiej. Polski referat objął „znawca" spraw kresowych pos. Zamysłowskij. Memoryał został p. Kokowcowowi wręczony, pomimo że nacyonaliści, którzy obecnie bratają się z październikowcami, w ostatniej chwili odmówili podpisów, a to w tem przekonaniu, że jak pisał niedawno w *Nowoje Wremia* jeden z przewódców nacyonalistów: „nie mamy prawa żądać czegośkolwiek od nowego premiera...., lecz iść razem z nim ręka w rękę w tych sprawach, które będą dalszem urzeczywistnieniem polityki Stołypina", a gwarancyą, że tak będzie istotnie, jest dla nacyonalistów powołanie na stanowisko ministra spraw wewn. Makarowa, prawej ręki Stołypina. Memoryał, podpisany zatem tylko przez skrajną prawicę, w sprawie polskiej streszcza się do następujących postulatów:

1. Represye wobec kościoła katolickiego są niewystarczające. Potrzebne więc są środki bardziej stanowcze i ostrzejsza kontrola nad „żyjącemi z funduszów państwowych szkołami duchownemi rz.-katolickiemi, które dostarczają niezmiennie z roku na rok nowe kadry przejętych nienawiścią ku Rosyi fanatyków". 2. Bank ziemski w Wilnie („śród urzędników banku o ile wiemy niema ani jednego Rosyanina") jest instytucyą polskiej kolonizacyi w „kraju półn.-zachodnim", która postawiła sobie za cel główny, „ażeby ani jedna piędź ziemi polskiej nie przeszła w ręce Moskali", przeto istnienie banku w tej postaci nie da się pogodzić z polityką narodową. 3. Instytucye samorządne miejskie na Litwie znajdują się w rękach polskich, skutkiem czego wszyscy funkcyonaryusze miejscy są Polakami, wszelkie przedsiębiorstwa miejskie oddaje się Polakom, miasta mają wygląd polski, popierane są teatry polskie etc. „Taki ruch jest niedopuszczalny w kraju, który ani z przeszłości historycznej ani ze składu etnograficznego ludności za polski nie może być uznany". 4. Ze względu, że „idea jagiellońska i nienawiść do wszystkiego co rosyjskie w ostatnich czasach bynajmniej nie słabła", występuje konieczność bezzwłocznego „zabezpieczenia rosyjskiej Chełmszczyzny".

Że te *pia desideria* nie zostaną spełnione, przynajmniej niewszystkie, jest więcej niż pewne. Jest dziś rzeczą ogólnie wiadomą, iż nowy premier nie zamierza iść na pasku nacyonalistów, z którymi ponoś zasadniczo się nie zgadza, tudzież nie chce mieć nic wspólnego z leaderem październikowców p. Guczkowem, do którego nie ma ani krzty zaufania, tem bardziej przeto nie mogą liczyć na jego łaskę Puriszkiewicz et consortes. Natomiast korespondenci pism petersburskich utrzymują, iż p. Kokowcow będzie starał się oprzeć o lewe centrum, którego wcale niema i którego utworzenie jest także wątpliwe.

Nacyonaliści i październikowcy, odsunięci od stołu pańskiego, zajmują na razie postawę wyczekującą, przygotowani jednak na ewentualną rolę opozycyi, utworzyli sojusz dla przeprowadzenia swojego planu w Dumie, między innemi dla uchwalenia wyodrębnienia ziemi chełmskiej, oraz dla wspólnego przeprowadzenia wyborów do IV Dumy. Tymczasem zaś starają się kokietować p. Kokowcowa i z dobrą miną rozgłaszają światu, że nowy premier to ich człowiek, czego dowodem ma być jego dość blada mowa podczas ostatnich rozpraw finlandzkich. W ten sposób obydwa te stronnictwa, jedno zwane stronnictwem ostatniego rozporządzenia rządowego, a drugie składające się z rządowych czynowników, myślą wkupić się w łaski rządu i powrócić do stołypinowskiego żłobu. I rzeczywiście, pomimo różnych wieści krążących w kuluarach Dumy, nie wydaje się prawdopodobnem, aby nowy rząd agresywnie występował przeciw większości, ani aby nowa większość miała rządowi rzucać kamienie pod nogi. Zresztą w sprawach najdrastyczniejszych, w polityce polskiej, p. Kokowcow przynajmniej na razie nie będzie nadstawiał karku. Pójdzie utartym szlakiem. Jest już rzeczą pewną, że nowy rząd nie tylko gorąco bronić będzie projektu chełmskiego, ale też wystąpi z projektami nowych praw wyjątkowych: o upaństwowieniu kolei warszawsko-wiedeńskiej i o dzierżawieniu majoratów w Królestwie. Jest natomiast możliwem, że dopiero przy wyborach do IV Dumy p. Kokowcow postara się utworzyć większość umiarkowaną, na której mógłby się oprzeć, tak jak Stołypin zebrał sobie większość październikowców w III Dumie. Prawdopodobna zatem zmiana kursu jest jeszcze dość daleka. A tymczasem spadną na nasz naród nowe ciosy, jeden za drugim.

Mazurzy Prus Książęcych.

Południowe powiaty Prus Książęcych liczą według urzędowych statystyków pruskich 248.185 Mazurów. Mazurzy wyznają protestantyzm i choć używają w mowie, kościele i książkach języka polskiego, nazywanego przez Niemców „mazurskim", nie uważają się bynajmniej za Polaków, ale za Mazurów-Prusaków i są szczerze przywiązani do monarchii i króla pru-

skiego. W stosunku do Mazurów, podobnie jak i Litwinów pruskich, Niemcy uprawiają politykę łagodnej i powolnej germanizacyi, obawiając się stworzenia „kwestyi mazurskiej“. Stąd nie drażnią tradycyi i przyzwyczajeń ludności, a nawet starannie podtrzymują odrębności etniczne i językowe, upatrując w nich ochronę przeciw niebezpieczeństwu „agitacyi wielkopolskiej“. W ostatnich jednak czasach poczęły się mnożyć objawy tej „agitacyi“. Wychodzący w Szczytnie *Mazur* rozpoczął energiczną walkę z gadzinowemi pisemkami wydawanemi dla Mazurów w jęz. polskim (*Polski Przyjaciel Familii* i *Pruski Przyjaciel Ludu*) i pomimo ciężkich trudności zdołał u garści Mazurów przełamać obojętność i pozyskać ich dla sprawy polskiej. Wobec zbliżających się wyborów utworzył się w łonie ludności mazurskiej „Związek obierczy mazurskiej partyi ludowej“, który wydał już odezwę do Mazurów w Prusiech i Westfalii, nawołującą do łączności z Polakami. „My robociąże mazurscy — głosi odezwa — powinniśmy tam, gdzie idzie o chleb codzienny i politykę, iść razem, bo cele nasze są równakie z robotnikami z innych stron polskich. Ci, co nas rozdwajają, czynią to dla swych korzyści, oni mają się z tej niezgody dobrze“. Wzmocnił się nadto ruch w kupnie ziemi, którą według pism niemieckich poczęli w dużych ilościach kupować Polacy-katolicy.

Te objawy „niebezpieczeństwa polskiego“ zaalarmowały pruskich opiekunów ludu mazurskiego. Wychodzący w Królewcu *Evangelisches Gemeindeblatt,* opierając się na dziełkach dwóch znawców spraw mazurskich, dr. Benratha i pastora Mückeleya, wystąpił z jaskrawem przedstawieniem tego niebezpieczeństwa, nie odważył się jednak nawoływać do ucisku Mazurów i poprzestał na podaniu łagodnych środków, mających obronić protestantyzm Mazurów. Drugim „obrońcą“ Mazurów jest pastor Hensel z Jańsborga, który w broszurze „Die Polengefahr und die Masurische Bevölkerung“ także w czarnych barwach maluje najazd Polaków i radzi, aby w zagrożonym okręgu osiadł mąż zaufania Ostmarkenvereinu dla każdej wsi i informował Vaterland o polskim naporze. Alarmy skutek odniosły, bo oto, jak donoszą pisma, wszyscy nauczyciele na Mazurach otrzymali cyrkularze, w których zwraca się ich uwagę na polskie niebezpieczeństwo. Sprawa zatem polskości Mazurów pruskich wchodzi w nowe stadyum otwartej walki; społeczeństwo polskie w zab. pruskim powinno dołożyć wszelkich starań, aby szczep mazurski wyszedł z tej walki uświadomiony. Bliskie już wybory do Reichstagu dają dobrą sposobność.

Książki, broszury, wydawnictwa.

Michel Sokolnicki: *Les origines de l'emigration polonaise en France* 1831—1832. Paris, Alcan 1910, str. X. i 239.

Jest ta książka, zgodnie z wolą autora, przedewszystkiem dziełem sztuki. Jest dalej wyznaniem jego wiary politycznej. Jest nakoniec także rozprawą historyczną, która posłużyła mu nawet za tezę doktorską. Cele te są dość różne i dość różne rezultaty osiągnięte. Już stąd widać ogromnie bliskie duchowe pokrewieństwo autora z Mochnackim, jego siłę, a zarazem wszystkie jego słabości. Siła polega na wpływie, jaki musi wywrzeć (zwłaszcza na młodzież) ta książka pełna poezyi i umiłowania idei. Jest to niejako wstęp do zamierzonej pracy o Towarzystwie Demokratycznem polskiem, historya zaczątków myśli demokratycznej. W złudzeniach wspólnych co do przyszłości sprawy polskiej, w cierpieniu wspólnem, w kraju cudzym, na łasce obcych i w tęsknocie wspólnej za utraconą ojczyzną nastąpiło to zrównanie społeczności polskiej na wychodźtwie, które stało się punktem wyjścia dla pracy nowych czasów. Choroba gadania i pisania trawiąca emigracyę nie razi nadto autora, gdyż w niej będzie śledzić postępy myśli rewolucyjnej, które kończą się tryumfem w r. 1848. Mniejsza o to, że poprzedził go r. 1846 i że ta wiosna ludów była krótkotrwała: w rozwoju idei są to tylko nieznaczne przerwy. Wszystko to zresztą jest rzeczą estetyki i wierzeń autora. Dla ich szczerości trzeba zawsze zachować szacunek, chociażby wymagało się w polityce innych rezultatów niż te, do jakich doszło pokolenie emigracyjne i chociażby wyżej ceniło się dorobek kulturalny stronnictwa zachowawczego od wystąpień partyi skrajnych. — Natomiast bardziej stanowcze uwagi nasuwają się przy ocenie naukowej wartości pracy. Oczywiście rozbiór jej szczegółowy byłby możliwy tylko po zapoznaniu się z pierwszorzędnym materyałem rękopiśmiennym, jakim rozporządzał p. M. S. w Krakowie, Rapperswilu i Paryżu. Przecież wolno wyrazić żal, że noty zredagowane są niedbale. To, co autor mówi n. p. (str. 18, 20) o braku generałów kreacyi napoleońskiej w r. 1830, o Kniaziewiczu (str. 58 i 158), o Dąbrowskiej z Chłapowskich (str. 75), o L. Chodźce (str. 76) i t. d. to są szczegóły całkiem błędne. Każdy sprostuje je sobie z łatwością, ale rodzi się stąd pewna nieufność do całego sposobu traktowania przedmiotu, z największą szkodą dla rzetelnych archiwalnych trudów autora. I wolno mieć żal do kierowników seminaryów paryskiej wolnej Szkoły Nauk Politycznych, i uniwersytetów szwajcarskich, że wpajają więcej polotu niż ścisłości historycznej. Możnaby tam opracować z wielkim pożytkiem dla nauki obcej i naszej szereg zagadnień z historyi polskiej, tymczasem jak dotąd wyniki nie są dość owocne. Oczywiście w tym razie jest to tylko przypadkowym zbiegiem okoliczności, że autor, znany już pisarz i działacz polityczny, przedłożył jako tezę pracę, która miała inną samodzielną racyę bytu. Nie można więc zapewne domagać się dla każdego zdania ścisłego, nudnego dowodu ze źródeł. Cała jednak generacya pisarzy wzorujących się na Mochnackim winna pamiętać, że on pisał o wypadkach, w których sam odegrał wybitną rolę, że zatem jego opowiadanie nie musi odpowiadać tym wszystkim wymaganiom, które wysuwa się wobec ludzi zajmujących się epoką niezwiązaną bezpośrednio z ich życiem. Co więcej, tematy z dziejów wychodźtwa szczególną mają własność budzenia namiętności, uśpionych w starych drukach i zżółkłych papierach. Dlatego lepiej, gdy je poruszy nie nie-

cierpliwa ręka młodzieńcza, ale ktoś pochylony wiekiem, wolny od wielu namiętności, własną pamięcią żyjący w tradycyi tych czasów.

Kronika.

Z zaboru austryackiego.

Koło Polskie. Na posiedzeniu Koła Polskiego z dn. 16 b. m., po odroczeniu dyskusyi nad sprawą upaństwowienia szkół średnich w Czortkowie, Białej i Orłowej i założenia szkół nowych, uchwalono wniosek pos. Skarbka: „Koło Polskie wzywa prezesa, by w myśl uchwały z 6 listopada 1911 r. bezzwłocznie rozpoczął z prezydentem gabinetu pertraktacye celem powołania do Rady koronnej Polaka“. W sprawie drożyźnianej na temże posiedzeniu uchwalono wniosek pos. Zieleniewskiego, aby, przy głosowaniu w Izbie nad wnioskami kom. drożyźnianej, Koło pozostawiło członkom swobodę głosowania. Nadto na skutek rezygnacyi dotychczasowego wiceprezesa Koła, pos. Ptasia, wybrano na j go miejsce pos. Skarbka.

Rada Narodowa. Na podstawie przedstawionych wniosków komitetów wyborczych, Rada Narodowa zatwierdziła kandydatury: na okr. 27 (Drohobycz, Turka etc.) dra Natana Loewensteina, na okr. 33 (Złoczów, Zborów, etc.) dra Władysława Dulęby.

Z życia stronnictw. Dn. 12 bm. odbyło się walne zgromadzenie stronnictwa prawicy narodowej. Uchwalono rezolucye referenta pos. W. L. Jaworskiego, w których zgromadzenie, 1) oświadcza, że obowiązkiem społeczeństwa jest solidarne poparcie obecnej polityki naszej reprezentacyi w Radzie państwa, 2) wyraża życzenie, aby słuszne żądania Polaków na Śląsku zostały spełnione i 3) wypowiadając się za najrychlejszem doprowadzeniem do skutku reformy wyborczej sejmowej, uważa, iż należy tę reformę połączyć z ustawowem uregulowaniem reformy samorządu gminnego i powiatowego.

Z zaboru rosyjskiego.

Wykup kolei wars. wiedeńskiej. Dn. 14 b. m. Rada ministrów uchwaliła wnieść do Dumy projekt wykupu kolei warszawsko-wiedeńskiej, który ma być uskuteczniony już 14 stycznia 1912. Rada ministrów przypisuje kolei wielkie znaczenie polityczne i strategiczne i uważa, że termin powyższy jest najkorzystniejszy, bo w r. 1913 cena wykupu z 32 mil. rbl. podniesie się do 38 milionów. Jak donosi *Kuryer Warszawski*, jest wątpliwem, aby projekt mógł być przeprowadzony przez obie izby prawodawcze do tego czasu, jest więc możliwem, że rząd skorzysta z § 87 ustaw zasadniczych w czasie feryi Dumy na święta Bożego Narodzenia. Według *Birżewych Wiedomostiej* w związku z wykupnem kolei, nastąpi jej likwidacya i włączenie do sieci kolei nadwiślańskich, a także zajdą znaczne zmiany w składzie osobistym personalu kolejowego. Obecnie na kolei pracuje 19 tysięcy Polaków, którzy mają swoje związki pożyczkowe, spożywcze, szkoły etc. Nie ulega wątpliwości, że cały ten gmach pracy współdzielczej i oświatowej runie, bo jednocześnie z wykupem nastąpi wyrugowanie znacznej części urzędników. Będzie to zatem cios ogromnego znaczenia: a przedewszystkiem zniesie on wielką instytucyę polską w kraju.

Sprawa Chełmszczyzny. Komisya wniosków prawodawczych Dumy ukończyła rozpatrywanie „życzeń“, które mają być uwzględnione w projekcie oderwania ziemi chełmskiej. Na ostatniem posiedzeniu uchwalono, aby rząd wszedł w porozumieniu z Watykanem w celu stopniowego zaprowadzenia języka rosyjskiego w nabożeństwie rzymskokatolickiem, a to w tych okręgach, gdzie mieszka ludność rosyjska (jak wiadomo wszyscy b. unici są uważani przez większość komisyi za Rosyan). Odrzucono przytem poprawki pos. Dymszy i Harusewicza, aby nabożeństwo to było uzależnione od zgody parafian, bo już dawniej kurya rzymska zgodziła się na rosyjskie nabożeństwo dodatkowe, ale za zgodą ludności. Także uchwalono drugie „życzenie“, aby przyłączyć do gub. chełmskiej powiaty włodzimierski i kowelski z gub. wołyńskiej oraz pow. brzeski z gub. grodzieńskiej, a miasto Brześć przemianować na Berestye. — Pos. Dymsza, Parczewski i Harusewicz wnieśli przeciw uchwałom t. zw. komisyi chełmskiej votum seperatum, pod którem także podpisali się Rosyanie: Rumiancow, Rodiczew, Maslennikow, i Tatar Maksudow.

Z zaboru pruskiego.

W Reichstagu. Dn. 11 b. m. w czasie dyskusyi nad ugodą niemiecko-francuską co do Marokka zabrał głos imieniem Koła Polskiego pos. Mielżyński, który podkreślił, że w sprawie tej Koło stoi raczej na uboczu, ale w interesie ludności polskiej zakłada protest przeciw awanturniczej polityce szowinistów niemieckich, tych samych, którzy na ziemiach polskich także judzą i burzą. Pos. Mielżyński wypowiedział się także za rozszerzeniem kompetencyi Reichstagu, który powinien decydować w ważnych sprawach zagranicznych. — Reichstag prawdopodobnie zostanie rozwiązany 30 b. m. albo 1 grudnia; nowe wybory rozpisano na 12 stycznia 1912 roku.

Wybory do Rad miejskich. W uzupełniających wyborach do Rady m. Chełmna nie wybrano ani jednego Polaka, pomimo, że obecnie ustępowało z niej 3 Polaków; stało się to skutkiem tego, że wyborcy polscy głosowali na listę niemieckiego Bürgervereinu, do którego wielu wybitnych Polaków należy. W Raszkowie w wyborze dopełniającym z II. klasy przeszli sami Niemcy, pomimo, że na 18 uprawnionych do głosu Niemców było tyluż Polaków, nie wszyscy jednak stawili się. Taksamo w Rogoźnie skutkiem nie stawienia się do urny 60 wyborców polskich, nie wybrano ani jednego Polaka. W Krotoszynie Polacy wcale nie brali udziału w wyborach. Natomiast we Wrześni Polacy zyskali jeden więcej mandat radziecki ze stratą Niemców.

Walka o ziemię. Pisma wielkopolskie podają daty świadczące o rozwoju dwóch instystucyi niemieckich, które obok wydzierającej ziemię polską Komisyi kolonizacyjnej umacniają własność niemiecką: Mittelstandkasse w Ks. Poznańskiem i Bauernbank w Prusach Królewskich. Obydwie instytucye regulują długi hypoteczne Niemców z zastrzeżeniem, że własność nie może przejść w ręce polskie, nadto pośredniczą w sprzedaży gruntów i uprawiają niekiedy parcelacyę. W latach 1906—1910 Mittelstandkasse umocniła w ten sposób własność niemiecką w 2.295 gospodarstwach, obszaru 42.727 ha, zaś do 1 kwietnia r b. w 2.729 gosp., 49.180 ha. Bauernbank w tymże okresie lat umocnił 1.983 gospodarstw obszaru 55.301 ha. Od r. 1909 poczęto umacniać większą posiadłość niemiecką, do r. b. umocniono w obu prowincyach 69 majątków z arealem 37.517 ha, tak, że w sumie ogólnej przez kilka lat ostatnich wzmocniono finansowo i narodowo własność niemiecką na obszarze 141.000 ha.

Wydawca: **Dr. Adam Skałkowski**
Odpowiedzialny redaktor: **Dr. Józef Browiński.**

Administracya otwarta w dnie powsz. od 10—12 przed poł. i od 4—6 wiecz.
Sekretaryat redakcyi urzęduje w dnie powsz. od 5—6 wieczorem.

Redakcya i administracya: Lwów, ul. Asnyka 1, ekspedycya ul. Murarska 31.

Drukarnia Jakubowskiego i Sp. we Lwowie, plac Bernardyński 7.